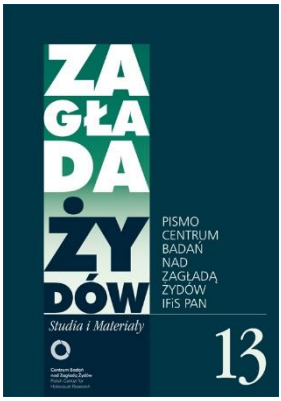

Zagłada Żydów. Studia i Materiały
Holocaust Studies and Materials

VOL. 13 (2017)

ISSN: 1895-247X
eISSN: 2657-3571
DOI: 10.32927
WWW: www.zagladazydow.pl

Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN
Polish Center for Holocaust Research

O Rejwachu Mikołaja Grynberga

Mikołaj Grynberg's Rejwach

Marek Zając
Fundacja Auschwitz-Birkenau

kohelet@interia.pl

DOI: https://doi.org/10.32927/ZZSiM.376
Strony/Pages: 708-716

CC BY

OPEN ACCESS

Marek Zając

O *Rejwachu* Mikołaja Grynberga

Zacząć muszę od wyznania osobistego. Tak jak przydarzyć się może niespełniona miłość – tak zdarza się niespełniona przyjaźń. Pozornie wszystko zdaje się sprzyjać zadzierzgnięciu mocniejszych więzów. Od początku rozumiecie się wpół słowa i buzuje międzyludzka chemia, jednak ziarno przyjaźni pada między ciernie codzienności. W natłoku obowiązków raz po raz zapominasz, że miałeś zadzwonić. Tysiąc razy obiecujesz sobie, że tym razem już na pewno się spotkacie i przegadacie w końcu kilka dobrych godzin, jak stary przyjaciel ze starym przyjacielem – a potem znowu szukasz nowego terminu. Tak mijają miesiące i lata, a przyjaźń wciąż nie wyszła poza fazę embrionalną. Kiedy przez przypadek się spotykacie, witasz się z przesadną serdecznością, ale w głębi duszy czujesz ukłucie żalu i zawodu względem samego siebie.

Tak, Mikołaj Grynberg to moja niespełniona przyjaźń. Po raz pierwszy spotkaliśmy się lata temu, oczywiście w Auschwitz. Po kilku minutach rozmowy wiedziałem, że trafiłem na współtowarzysza w chorobie. Jednego z tych, którzy zachorowali na Zagładę. Spotykałem ich wielu. Nocami ślęczą nad pamiętnikami z getta albo relacjami Ocalałych. Czytają wszystko, żarliwie i łapczywie, jakby wierząc, że każde świadectwo to czółno, którym Charon może przeprawić żywych do Umarłych. Regularnie pielgrzymują do dawnych obozów i muzeów Holokaustu – znajdując ku temu faktyczne powody albo wydumane preteksty, a często po prostu jadą bez przyczyny.

Idąc ulicami – widzą domy i ludzi, którzy dawno temu zniknęli z tego świata. Wszędzie szukają śladów PO. A zarazem wyczuleni są na każde słowo, w którym dźwięczy choćby dalekie echo czasu PRZED. Nawet jeżeli starają się w pewnym stopniu kontrolować – choroba i tak, jak zresztą każda schorzenie duszy, niepostrzeżenie bierze górę, żeby ujawnić się w najmniej oczekiwanym i pożądanym momencie. Gdy w rozbawionym towarzystwie nagle poddają się niepowstrzymanemu prądowi skojarzeń i zaczynają opowiadać jakąś historię związaną właśnie z TYM – dopiero po chwili orientują się, że popełnili *faux pas* i zepsuli *small talk*. Wbrew stereotypowemu wyobrażeniu nie wszyscy są ludźmi nieszczęśliwymi, nieustannie pogrążonymi w żałobie. Przeciwnie – niektórzy są wręcz nadaktywni. Może obsesyjnie zajmując się śmiercią, utwierdzili się w przekonaniu, że nie wolno marnować dnia ani godziny?

Kiedy więc po raz pierwszy spotkałem Mikołaja Grynberga, cieszącego się wówczas opinią znakomitego fotografika – nie miałem wątpliwości, że należymy do wspólnego grona nosicieli. Nie wiedziałem jednak, że w jego przypadku w grę wchodzi o wiele intensywniejsza postać choroby, wywodząca się wprost z ciemnego źródła i przenoszona z pokolenia na pokolenie.

Sam tak opowiadał o swoich wizytach w Auschwitz: „W psychologii, kiedy np. dziecko długo sika do łóżka, mówi się, że to dziecko jest delegatem do choroby tej rodziny. Tam jest poważniejsza sprawa, nie tylko to, że dziecko bije kogoś w przedszkolu czy się moczy. Jest tylko jednym ogniwem, których jest w tej rodzinie więcej. Nie myślałem, dopóki nie zacząłem tam jeździć, że sam jestem kimś w rodzaju delegata do choroby. Przez pierwszych parę podróży mój ojciec nie dzwonił, czy dojechałem, a zawsze dzwoni. Myślę, że nie był w stanie nawet przez telefon tam być. Dopiero za którymś razem zadzwonił, potem słuchał mojej relacji. On przeszedł getto, on dobrze pamięta. Podobnie było z moim bratem, który mówił, że nie pojedzie, bo wie od babci, jak tam było. A ja pełniłem rolę kogoś, kto wrócił z Ameryki i opowiada, jak jest na świecie. Stałem się delegatem do obsesji – dla mnie to jest pojęcie osiowe. Tak też zdobywałem pieniądze, często od osób prywatnych, które miały coś wspólnego z Auschwitz, ale same nie chciały tam jechać".

Kiedy się spotkaliśmy, Mikołaj pracował nad artystycznym projektem, który finalnie przyjął postać albumu *Auschwitz – co ja tu robię?* (2009). Strona po stronie – rozmyte fotografie anonimowych osób odwiedzających Miejsce Pamięci plus odpryski dialogów krążących wokół tytułowego pytania.

– Przyjechałam tu, bo dużo w życiu rozmyślałam o tym, czym jest zło.
– I jakie masz tutaj przemyślenia?
– Tu się kończą te rozmyślania. Tu wiadomo, czym jest zło.

Lub:

– Jak tu jestem, wstydzę się, że żyję.

Albo:

– Znalazłam się tu przez przypadek. Wiem, że to dziwnie brzmi. Chciałam przyjechać do Europy. Wiesz, Stary Kontynent i tak dalej.
– I jak, podoba ci się?
– Tutaj do mnie dotarło, że jestem węgierską Cyganką i co by się wtedy ze mną stało.
– Niezłe wakacje sobie zrobiłaś.
– Zaczynam nowy rozdział w życiu: historia mojej rodziny.

I jeszcze:

– Przez lata żyłam w obsesji Holokaustu.
– Co to znaczy?
– Rozmyślałam i bałam się.
– A teraz?
– Już nigdy w życiu na nic się nie będę skarżyć.

Dziś wstęp do tamtego albumu – tekst przewodniczki po dawnym obozie Anny Sommer i długi wywiad z autorem, który przeprowadziła Justyna Sobolewska – czyta się przez pryzmat późniejszych publikacji Mikołaja. Teraz widać, że był to tylko pierwszy etap. Obiecująca wprawka albo udany szkic zapowiadający większe dzieło. Laboratorium, gdzie w mikroskali sprawdza się sens celu badawczego i skuteczność obranych metod.

Sommer pisze, że początkowo podchodziła do pomysłu na album ze sceptycyzmem, bo przecież przewodnicy najlepiej znają motywacje zwiedzających i „nie potrzebujemy żadnego Grynberga, żeby obwieścił nam prawdę". Z czasem jednak zorientowała się, że ma do czynienia z człowiekiem obdarzonym ponadprzeciętną zdolnością wsłuchiwania się w drugiego: „Czasami pracując z nim, miałam wrażenie, że tylko on słyszy ból zaszyty głęboko w duszy rozmówcy. Ból, którego nikt z nas nie potrafi wydobyć i zrozumieć". Skąd bierze się ta arcywrażliwość? Znamy polskie przysłowie, że syty głodnego nie zrozumie. A chory chorego – i owszem.

Sam autor tłumaczył: „Zdjęcia są dla mnie pretekstem. Jeździłem do Auschwitz, żeby rozmawiać. Mówiłem ludziom, że jestem fotografem i robię zdjęcia, ale tym razem, jak w żadnym innym moim projekcie, fotografia jest tak naprawdę mało ważna. Najważniejsze jest doświadczenie. Nie bałem się emocji. Chciałem, żeby ich było jeszcze więcej. Wbrew pozorom nie chodziło mi tylko o skanalizowanie traumy, ale o to, by ją wręcz otworzyć. Nie byłem na żadnych masowych imprezach, ani na Marszu Żywych, ani Pociągach Pamięci. Nie interesowały mnie tłumy, tylko indywidulane spotkania".

Faktycznie zdjęcia odgrywały tu rolę drugoplanową, mimo wszystko jednak znaczącą. Dlatego jedna drobna uwaga na marginesie – Grynberg tak wyjaśniał, dlaczego kadry są rozmyte, że nie sposób rozpoznać twarzy, a często i samych miejsc: „Chciałem unikać oczywistości. Zdecydowałem, że będę fotografował rzeczy mniej ostre, detale. Ideologia, która za tym stoi, jest taka, że więźniów cały czas gdzieś goniono, oni nie mieli czasu, żeby patrzeć dookoła, pokazuję więc fragmenty obrazu, to, o co zahaczał wzrok". Dopiero teraz uderzyło mnie, że identyczną metodę zastosowano w… nagrodzonym w 2016 r. Oscarem filmie *Syn Szawła* węgierskiego reżysera László Nemesa. Filmie, co do którego scenariusza i wymowy mam zasadnicze uwagi, ale jego formę powszechnie uznano – i słusznie – za genialną.

Przy kolejnym projekcie zdjęcia Mikołaja zaczęły już wręcz zawadzać. W wywiadzie dla „Pressa" tak wspominał okoliczności powstania książki *Ocaleni z XX wieku* (2012), przez krytyków uznanej za jego debiut w roli reportera: „Pojecha-

łem do Ocalonych z kupą sprzętu fotograficznego i dyktafonem. Gdy zacząłem rozmawiać, nie wiedziałem, co ja z tym aparatem mam robić. Łazić za starszymi ludźmi i pokazywać, jak mieszkają, śpią, jedzą...? Co to kogo w ogóle obchodzi? Oni zaraz odejdą i zabiorą ze sobą niezwykłe historie. Zrobiłem po jednym zdjęciu pary rozmówców, które notabene wydrukowano w skandaliczny sposób. Żaden szanujący się fotograf by na to nie pozwolił. Sam przez lata walczyłem o jakość swoich prac w czasopismach i katalogach, ale w tamtym momencie odpuściłem. Po raz pierwszy uznałem, że fotografie są drugorzędne".

Rozmowy i historie konkretnych ludzi wciągnęły Mikołaja niczym wir. Kolejną książkę zatytułował *Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne* (2014). To zbiór dłuższych rozmów z dziećmi Ocalałych. Jak mówi się w slangu Pamięci: z drugim pokoleniem.

Na czym opiera się wspólnota ich losów? Grynberg: „Bohaterów mojej książki łączy to, że wychowani zostali, tak jak ja, przez ocalałych z Holokaustu. Łączy nas też to, że jesteśmy Żydami, i to, że mieliśmy nie istnieć, bo już naszych rodziców miało nie być. Łączą nas również nasze domy rodzinne, trwające w cieniu wielkiej żałoby. Smutek był ich niezbywalną częścią, często pozostającą w sferze poza słowami".

Ale jest i inna odmiana tego doświadczenia, którą (współ)odczuwa autor: „Moim rozmówcom towarzyszy szczególny rodzaj smutku, może nawet nostalgii – za czymś, czego nie znali. Rzadko dzielą się nim z innymi, bo łatwo jest być źle zrozumianym. Tak jak ich rodzice, prowadzą takie rozmowy głównie we własnym środowisku, by nie musieć się wzajemnie przekonywać do rzeczy, w które nie sposób uwierzyć".

Już pierwsza rozmowa – z Jossim – przynosi frazę wprowadzającą w całość: „Jak wiesz, zrobiłem w Izraelu karierę i jestem z tego bardzo dumny. Nie jestem nieudacznikiem życiowym. Urodziłem się w Auschwitz, wychowałem się w Auschwitz i dojrzewałem z tym Auschwitzem na co dzień".

To bardzo dobra książka. I dziwna, paradoksalna. Niby wszystkie historie są kompletnie różne, ale zarazem w swoich pierwotnych sensach brzmią niemal identycznie. Cały zbiór stanowi mistrzowski pokaz sztuki, którą można by nazwać głęboką chirurgią duszy – a jednocześnie układa się w konkretną, klarowną, wręcz socjologiczną analizę porównawczą tego, co przez ostatnie dziesięciolecia znaczyło być dzieckiem Ocalałego w Polsce, Izraelu i Ameryce. Są to opowieści o sprawach najważniejszych: o życiu i śmierci, o dobru i złu, o odpowiedzialności rodziców za dzieci i dzieci za rodziców. Nigdzie jednak nie usłyszy czytelnik fałszywego tonu, zbyt wysokiego C; nie ma tu nachalnego moralizatorstwa. Są to cierpka ironia oraz dystans do historii Zagłady i własnego życia naznaczonego Holokaustem, a jednocześnie totalne zanurzenie w obu tych otchłaniach bez dna.

Na pierwszy rzut oka książka składa się z rozmów udanych i nieudanych. Podczas tych pierwszych bohaterowie otwierają się już po kilku pytaniach; jak z rękawa sypią soczystymi opowieściami i zdaniami, które błyszczą niczym czy-

sta literatura albo gotowe aforyzmy. Ale inne rozmowy idą jak po grudzie – bez przerwy gubią się w ślepych uliczkach niemego bólu i stuporu. Od początku balansują na granicy zerwania. Zastanawiam się jednak, czy właśnie owe z pozoru nieudane – nie są najlepsze. Zgodnie ze starą zasadą, że w zdaniu „W tym pokoju nie ma kota" jest więcej kota niż w zdaniu „W tym pokoju jest kot".

Kiedy Mikołaj rozmawia z Gitlą z Izraela, bez przerwy trafia na mur. Aż wreszcie dowiaduje się, że jej ojciec – żeby przeżyć – był w obozie piplem wykorzystywanym przez kapo: „No więc ten mój przystojny, niebieskooki tata był pieprzony przez okrągłe dwa lata przez jednego skurwysyna, któremu się wydawało, że jest kimś. Ten skurwysyn urządzał przedstawienia dla innych funkcyjnych. W rolach głównych: on i mój tata. Organizowali też seanse dla szerszej publiczności. Mój tata go zabił niecałą godzinę po wyzwoleniu obozu. Po chwili jednak zorientował się, że świadkiem jego poniżania były tłumy ludzi. Więc spisał wszystkich, których zdołał zapamiętać. Schował się w domu i skreślał ich w kolejności umierania. Lista się skracała, ale żyć i tak się nie dawało". Po jego śmierci to Gitla stała się strażniczką listy – jakby czekała na autentyczne wyjście ojca z obozu, które zarazem mogłoby stać się wyzwoleniem i dla Gitli. Jednak podskórnie czytelnik wyczuwa, że to ułuda. Że żadnego wyzwolenia, poza biologiczną śmiercią, już nie będzie.

Bez względu na to, jakie były intencje i zamierzenia autora, *Oskarżam Auschwitz* okazało się biciem w dzwon wzywający wszystkich, którzy chcieliby wreszcie zrzucić brzemię milczenia. To była książka-magnes, która przyciągała i musiała prowadzić do ciągu dalszego. Tak oto powstał *Rejwach*[1]. We wstępie Grynberg jednym zdaniem streszcza jego genezę: „Dziękuję wszystkim, którzy po przeczytaniu mojej książki *Oskarżam Auschwitz. Opowieści rodzinne* skontaktowali się ze mną i podarowali mi swoje historie". Ujmująco brzmi to sformułowanie: „podarowali mi swoje historie". Subtelny, ale wyraźny sygnał pokory i szacunku ze strony Mikołaja dla jego bohaterów. Bez tego ciężko napisać mądrą książkę na tzw. trudny temat. Jednocześnie – sygnał, że te historie autor zaczyna traktować jako swą własność.

Bo, co godne zauważenia i uznania, z czasem rósł i dojrzewał sam autor, począwszy od pierwszego albumu o Auschwitz. *Rejwach* nie jest już zbiorem umiejętnie wyłowionych strzępów dialogu ani dłuższych, precyzyjnie szlifowanych rozmów. Grynberg poczuł, że wypowiedzi bohaterów może przerobić na literackie miniatury. Nie ulega wątpliwości, że czyni to z surową starannością, ale przyznając sobie większą swobodę – osiąga lepszy efekt. Podczas lektury nie ma sensu zastanawiać się, co jest faktem, a co wytworem wyobraźni autora, którą pobudziło np. jedno usłyszane zdanie. Tak czy siak z tych opowieści wyłania się czysta Prawda.

W miniaturach Grynberga nie ma słów zbędnych, przestrzelonych. Nie ma piany ani pustych przebiegów. Czytelnik dostaje samą esencję. Nie wydumaną

[1] Mikołaj Grynberg, *Rejwach*, Warszawa: Wydawnictwo Nisza, 2017, 128 s.

poezję i na siłę wykreowane symbole, ale chropawy, kanciasty konkret. Przychodzi mi tu na myśl fotografia, którą w albumie o Auschwitz zamieścił Grynberg: zwiędły kwiatek smętnie zwisający z obozowych drutów. I opatrzył własnym komentarzem: „Wszystko naokoło jest prawdziwe, tylko my przynosimy symbole". Tak, u Mikołaja wszystko jest do bólu autentyczne – łącznie z nim samym.

Skoro *Rejwach* jest książką sprowokowaną przez samo życie, przez niekontrolowany napływ rozmówców – radykalnie poszerza się też spektrum bohaterów. Przez to opowieść staje się pełniejsza, wielowymiarowa i wielowątkowa. Obok losów dzieci *survivierów* mamy tu poruszające historie samych Ocalałych, którzy tak naprawdę nigdy nie opuścili okupacyjnych kryjówek. Mentalnie nadal kryją się w bunkrach milczenia, nie zdradzając swego pochodzenia. Wegetują na aryjskich papierach, strzegąc swoich rodzinnych sekretów i prowadząc podwójne życie.

Jedna z bohaterek, podczas okupacji oddana przez rodziców Polakom do ukrycia, tak opisuje swe dalsze życie: „Ukrywałam się, mimo że wojna się skończyła. Ukrywałam całą swoją zamordowaną rodzinę, która była już tak dobrze schowana, że sama nie potrafiłam jej odnaleźć. Oszukiwałam męża. Oszukiwałam dzieci. Oszukiwałam znajomych i koleżanki z pracy. Oszukiwałam cały świat! A wie pan po co? Po to, żeby żyć. Nie po to, żeby żyć lepiej. Robiłam to tylko po to, by żyć! Ukrywałam się przed samą sobą i prawie mi się udało. Niestety, postanowiłam się z panem spotkać i wszystko szlag trafił. Pan się nie niepokoi, to nie pana wina".

Dźwigają więc w ukryciu wojenną traumę; przeświadczenie, że bycie Żydem to wyrok śmierci, w najlepszym razie piętno, w czym utwierdza ich jeszcze powojenny antysemityzm. Ale bywa, że nie wytrzymują i nagle, czasem na łożu śmierci, ogłaszają osłupiałym bliskim, kim naprawdę byli i są. Te historie poznajemy z perspektywy tych, na których nieznośny ciężar spadł jak grom z jasnego z nieba.

„Babcia nasza umarła, proszę pana, już prawie rok temu. Ale zanim to zrobiła, zdążyła jeszcze powiedzieć to, czego pan już się pewnie domyśla. Stoimy przy tym jej łóżku całą rodziną. Rodzice, ja z siostrą i nasze małe dzieci, a tu nagle, ni z gruchy, ni z pietruchy, że ona jest Żydówką i nie mogła z tym odejść, nas nie informując. My po sobie patrzymy i uszom nie wierzymy, bo my to tak za bardzo za Żydami nie byliśmy.

Siostra mnie na bok wzięła i mówi, że babcia już niedotleniona, dlatego tak gada. Ale babcia się nie poddaje, proszę pana. Historię rodzinną zaczyna opowiadać. O tych pana gettach, obozach, Auschwitzach, siostrach, braciach, gazie i całej reszcie. Co normalny człowiek może z tego zrozumieć?".

A potem bohater mówi coś, co jest już tak głębokie, że na pewno aż nieświadome: „Następnego dnia umarła nasza babcia nie-Żydówka całe życie. A kto został? Jej córka Żydówka i jej wnuki Żydzi, tak? Bo tak to u nas wygląda, prawda? I co my jesteśmy winni? Nawet nie wiemy, czy poza nami i panem ktoś jeszcze o tym wie. Ona nam przekazała nie wiadomość, ale strach. Przyjechałem tutaj,

żeby w imieniu całej rodziny panu podziękować za ten strach. Do kogo miałem iść, do księdza proboszcza? Pana historie, pan sobie z nimi radź sam. Idę, bo mi pociąg ucieknie".

Autor radzi sobie zatem sam także z opowieściami ukazującymi antysemityzm *à la polonaise*. Ten dziwny, niezniszczalny wirus przejawiający się w formule, którą słyszałem wiele razy: nie mam nic do Żydów, ale… Niezwykła jest historia dwóch braci, którzy z powodzeniem prowadzą rodzinny biznes, ale pechowo mają śniadą cerę i kręcone włosy – więc otoczenie uważa ich za Żydów, a na ścianach ich zakładu pojawiają się gwiazdy Dawida na szubienicach. Zdesperowani proszą Grynberga, żeby jako ekspert od TYCH spraw wystawił im zaświadczenie potwierdzające aryjskie pochodzenie.

„Przepraszam, nie jestem Żydówką, ale od lat mam z wami wielki kłopot" – tak zaczyna się miniatura zatytułowana *Moich pięciu Żydów*. Polka opowiada o Żydach napotkanych w dzieciństwie i młodości. Dużo w tych historiach pogardy, dziecięcego okrucieństwa – niemożliwego do rozwikłania splotu świadomości i nieświadomości, z którego biorą się złe uczucia i czyny. Ale pobrzmiewa w tym wszystkim też niestłumiony wyrzut sumienia. Pytanie być może dla judaizmu nie aż tak istotne, ale w chrześcijaństwie dyskutowane od wieków: o ciężar własnego grzechu. Jaka jest wina dziecka dołączającego do reszty ledwie odrosłych od ziemi dręczycieli, którzy w kościele przywiązują kolegę do ławki i chcą zmusić do wyznania, że tak naprawdę jest Żydem? Gdzie tu (współ) odpowiedzialność domu, szkoły, Kościoła?

Oczywiście Grynberg tych pytań nie stawia wprost. Jest zbyt wrażliwym i biegłym pisarzem, żeby tracić czas i talent na łopatologiczną publicystykę. Charakterystyczne zresztą, że jego głosu nie słychać w polsko-polskich, w coraz większym stopniu zrytualizowanych sporach o Zagładę, o Jedwabne i Sprawiedliwych, o nacjonalistyczny ciemnogród i zdrajców Ojczyzny, co kalają własne gniazdo. I nie obawiam się powiedzieć, że to dobrze. Grynberg jest naszym przewodnikiem po zupełnie innych otchłaniach. Jego świat nie znosi uproszczeń. Narodził się nam nietuzinkowy pisarz.

Wśród wielu różnych opowieści i bohaterów *Rejwachu* jest też wstrząsająca historia jednego z tych samozwańczych strażników Pamięci, Polaków chorych na Zagładę. Człowieka, który nie tylko wskazuje zagranicznym turystom najważniejsze punkty na terenie dawnego getta w Warszawie, ale zbiera też ludzkie szczątki, które oddaje ziemia: „Kiedyś zawiadamiałem urzędy miejskie, prosiłem, żeby zajęli się pochówkiem tych kości. Później dzwoniłem do różnych żydowskich organizacji. Szukałem kontaktu z Gminą Żydowską. Ale zrozumiałem, że rabini ze względów religijnych będą walczyć o wstrzymanie robót, i przestraszyłem się, jak zareagują mieszkańcy. Już nigdzie nie dzwonię. Przychodzę nocą i zbieram te kości do plastikowych torebek. Z początku nosiłem je na cmentarz żydowski i po cichu grzebałem pod samym murem. Ktoś mógłby jednak pomyśleć, że nie zakopuję, ale wykopuję. Ostatnio znalazłem dla nich idealne miejsce. Mam nadzieję, że tam te dusze wreszcie osiągną spokój.

Zakopuję je nocami w skarpie przy centrum handlowym Arkadia. Wracam z psem do domu, wierząc, że dobrze zrobiłem".

To ociera się o banał, ale każdy znajdzie w książkach Grynberga inne sensy, refleksy z własnego doświadczenia i zupełnie nowe prawdy dla samego siebie. Patrząc na cztery książki autorstwa Mikołaja – odkrywam np. z całą wyrazistością, dlaczego Zagłada była złem totalnym. Bo zło dokonane rękami sprawców uśmierciło nie tylko Ofiary, ale położyło się cieniem na życiu wielu Ocalałych, ich dzieci i wnuków. Nieodwracalnie skaziło też świadków. Zło totalne uderza wszędzie, gdzie tylko może.

Pytanie brzmi: jak długo jeszcze? Czy z czasem zło i jego skutki będą słabnąć, jak kręgi rozchodzące się po powierzchni wody, gdy do stawu wrzuci się kamień, aż wreszcie wszystko się uspokoi?

A może zło totalne jest wieczne?